

Bułyczow Kir - wybor

Autor: Kir Bułyczow
Tytuł: wybór

(Wybor)

Z "NF" 2/98

Było duszno, miałem ochotę zrobić przeciąg, ale przez cały czas ktoś zamykał drzwi. Byłem zmęczony. Tak bardzo, że przez pięć minut, zanim podniosłem słuchawkę, próbowałem wymyślić prawdopodobny pretekst, który przeszkodzi mi zobaczyć się z Katrin. A potem, gdy wykręcałem numer, wyobraziłem sobie, że Katrin zaraz powie, że nie może się ze mną spotkać, bo ma zebranie. Odebrała Katrin i powiedziała, że mogłem zadzwonić wcześniej. Obok stołu z telefonem stanął Krogius, położył na stole siatkę z konserwami i cukrem - wybierał się na daczę. Stał obok i czekał, aż skończę rozmowę. Patrzył na mnie żałośnie. Katrin mówiła cicho.

- Co? - zapytałem. - Mów głośniej.

- Za czterdzieści minut - powiedziała Katrin. - Tam, gdzie zawsze.

- No widzisz - powiedziałem do Krogiusa, gdy odłożyłem słuchawkę. - Dzwon.

- Dziękuję - powiedział Krogius. - Żona zaraz wychodzi z pracy.

Przed wejściem do laboratorium czekała na mnie panienska z biblioteki. Powiedziała, że przez dawa lata nie płaciłem składek na Czerwony Krzyż i że mam wstrzymany abonament, bo nie oddałem ośmiu książek. Zupełnie zapomniałem o tych książkach. Przynajmniej dwie z nich wziął Suren. A Suren wyjechał do Armenii.

- Będzie pan występował na posiedzeniu? - zapytała mnie panienska z biblioteki.

- Nie - powiedziałem i uśmiechnąłem się uśmiechem Łanowego. Albo Jeana-Paula Belmondo.

Panienska powiedziała, że jestem wspaniałym aktorem, szkoda tylko, że się nie uczę. Powiedziałem, że nie muszę się uczyć, bo i tak wszystko umiem.

- Dobrze mi z panem - powiedziała panienska. - Jest pan dobrym człowiekiem.

- Nieprawda - powiedziałem. - Udaję.

Panienska nie uwierzyła i poszła, prawie szczęśliwa. Ale ja nie kłamałem. Udaję. Było duszno. Poszedłem na plac Puszkina pieszo, żeby zabić czas. Przed salą koncertową im. Czajkowskiego w kiosku sprzedawano goździki, ale zwiędnięte. A poza tym pomyślałem, że jeśli pójdziemy gdzieś z Katrin, będę wyglądał jak amant.

Owładnęło mną głupie uczucie, jak gdyby to wszystko już było. I nawet ten posepny dzień. I Katrin tak samo czeka na mnie na półokrągłej długiej ławce. A u stóp Puszkina powinny stać doniczki z przywiedłymi kwiatami i bukietik wyblakłych bławatków.

Tak też było. Nawet bławatki. Ale Katrin się spóźniła i to ja usiadłem na pustym brzegu ławki. Nie sięgał tutaj cień krzaków i dlatego nikt nie siadał. W cieniu gnietli się niemieccy turyści z zakupami, a dalej, tu i ówdzie siedzieli staruszkowie i tacy jak ja, którzy na kogoś czekali. Jeden staruszek głośno mówił do sąsiada:

- To zbrodnia siedzieć w Moskwie w taką pogodę. Zbrodnia.

Złościł się, tak, jakby ktoś był temu winien. Katrin nie przyszła sama. Za nią, a raczej obok niej, szedł wysoki, szeroki w ramionach mężczyzna z kilkudniową bródką, nieumiejętnie przyklejoną do podbródka i policzków. Nadawało mu to wygląd oszusta. Mężczyzna miał na głosie biały

Bulyczow Kir - wybor

kaszkiecik. Jeśli byłoby chłodniej, założyłby zamszową marynarkę. Patrzyłem na niego dlatego, że na Katrin nie musiałem patrzeć. I tak ją znałem. Katrin jest podobna do małego doga - ręce i nogi ma za duże i jest ich za dużo, ale na tym właśnie polega jej urok.

Katrin odszukała mnie wzrokiem, podeszła i usiadła. Mężczyzna usiadł obok. Katrin udała, że mnie nie zna, ja też nie patrzyłem w jej stronę. Mężczyzna powiedział:

- Gorąco tutaj. Pięknie skwar. Można dostać porażenia słonecznego.

Katrin patrzyła prosto przed siebie, a on podziwiał jej profil. Chciał dotknąć jej ręki, ale nie miał śmiałości i jego palce mimo woli zawisły nad jej dłonią. Mężczyzna miał mokre czoło, świeciły mu się policzki.

Katrin odwróciła się od niego, zabrała swoją rękę z kolana i nie patrząc na mnie, samymi wargami, powiedziała:

- Zamień się w pająka. Przestrasz go na śmierć. Tylko tak, żeby nie widział.

- Pani coś mówiła? - zapytał mężczyzna i dotknął jej łokcia. Jego palce zamarły od dotyku chłodnej skóry.

Pochyliłem się do przodu, żeby spotkać jego wzrok i przeistoczyłem się w wielkiego pająka. Miałem prawie półmetrowej długości ciało i metrowe łapy. Wymyśliłem sobie szczekonóża podobne do krzywych pił, wymazane śmierdzącym jadem. Na plecy wpakowałem sobie ruchliwe młode. Młode też ruszały szczekonóżami i wydzielały jad.

Mężczyzna nie od razu pojął, co się stało. Zmrużył oczy, ale nie zabrał ręki z łokcia Katrin. Wtedy przeistoczyłem Katrin w pajęczycę i zmusiłem go, żeby poczuł pod palcami chłód i śluz chitynowego pancerza. Mężczyzna przycisnął rozczapierzone palce do piersi, a drugą ręką zamachał przed oczami.

- Do diabła - powiedział. Wydawało mu się, że zasłabł, ale najwidoczniej, jak wielu takich dużych mężczyzn, był nieufny. Zmusił się, żeby jeszcze raz spojrzeć w moją stronę i wtedy wyciągnąłem do niego przednie łapy z pazurami. I on uciekł.

Wstyd mu było uciekać, ale nie mógł opanować strachu. Niemcy rzucili się do toreb z zakupami. Staruszkowie popatrzyli w ślad za nim.

Katrin zaśmiała się.

- Dziękuję - powiedziała. - Dobrze ci to wychodzi.

- Nie uciekłyby - powiedziałem. - Gdybym ciebie nie zamienił w pajęczycę.

- Jak ci nie wstyd - powiedziała Katrin.

- Dokąd pójdziemy? - zapytałem.

- Dokąd chcesz - powiedziała Katrin.

- Bardzo dzisiaj duszno - powiedziałem. - Gdzie on się do ciebie przyczepił?

- Szedł za mną od kina. Powiedziałam mu, że czeka na mnie mąż, ale potem postanowiłam, że dam mu nauczkę za jego pewność siebie. Może pójdziemy do parku? Napijemy się piwa.

- Tam jest mnóstwo ludzi - powiedziałem.

- Dzisiaj piątek. Sam przecież mówiłeś, że w piątek wszyscy inteligentni ludzie jadą za miasto.

- Jak chcesz.

- No to chodźmy złapać taksówkę.

Na postoju była spora kolejka. Słońce opuściło się na dachy i wydało się, że za bardzo zbliżyło się do Ziemi.

- Zrób coś - powiedziała Katrin.

Wyszedłem z kolejki i poszedłem łapać okazję. Nigdy tego nie robię, tylko dla Katrin. Na rogu zobaczyłem pusty samochód i przeistoczyłem się w Jurija Nikulina.

- Dokąd? - zapytał kierowca, gdy wsunąłem do samochodu

Bułyeczow Kir - wybor

głową Nikulina.

- Do Sokolników.

- Siadaj, Jura - powiedział kierowca.

Zawołałem Katrin. Gdy szliśmy do samochodu, zapytała:

- Kogo mu pokazałeś?

- Jurija Nikulina - odpowiedziałem.

- Słusznie - powiedziała Katrin. - Będzie dumny, że cię wiozł.

- Przecież wiesz...

- Coś dawno cię w kinie nie widziałem, Jura - powiedział kierowca, rozkoszując się możliwością obcowania ze mną.

- Jestem zajęty w cyrku - powiedziałem.

Musiałem przez cały czas o nim myśleć, chociaż wolałbym patrzeć na Katrin. Katrin była w dobrym humorze. Przygryzła dolną wargę i końce ostrych kłów wbiły się w różową skórę. Kierowca był bardzo rozmowny. Dałem mu rubla, a on powiedział, że zachowa go na pamiątkę.

Pod dużymi drzewami, przy wejściu było chłodno. Wszystkie miejsca na ławeczkach były zajęte. Przed nami, za okrągłym basenem, wznosiła się kopuła - pozostałość po Amerykanach, którzy robili tu wystawę. Teraz też była tu wystawa "Inter-coś-71". Pomyślałem, że jeśli Gurow do poniedziałku przeczyta referat, który napisaliśmy z Krogiusem, to we wtorek przyjdzie do laboratorium. Krogius nie miał pojęcia, co właściwie narobiliśmy. Ja wiedziałem.

- Chodźmy bardziej w lewo - powiedziała Katrin.

W lesie, poprzecinanym ścieżkami, pod jakimś dawno nie malowanym płotem, Katrin rozłożyła dwie gazety i usiedliśmy na trawie. Katrin zachciało się piwa. Wyjąłem butelkę z teczki. Kupiłem ją po drodze z pracy, bo pomyślałem, że Katrin będzie miała ochotę na piwo. Nie było czym otworzyć butelki. Podeszedłem do płotu, żeby wykorzystać brzeg sztachety. Przed płotem był duży rów i pomyślałem, że mogę nad nim przelecieć, nie przeskoczyć, ale przelecieć. Ale na ścieżce pojawiły się dwie kobiety z dziecięcymi wózkami, więc przeskoczyłem przez rów.

- Chciałabyś latać? - zapytałem Katrin.

Katrin patrzyła mi prosto w oczy i zauważyłem, jak zmniejszyły się jej źrenice, gdy padło na nie światło słoneczne.

- Nic nie rozumiesz - powiedziała. - Nie umiesz czytać w myślach.

- Nie umiem - powiedziałem.

Piliśmy piwo z butelki i przekazywaliśmy ją sobie jak fajkę pokoju.

- Okropnie gorąco - powiedziała Katrin. - I wszystko dlatego, że nie pozwalasz mi spinać włosów.

- Ja?

- Powiedziałeś, że bardziej ci się podoba, gdy mam rozpuszczone włosy.

- Podobasz mi się zawsze - powiedziałem.

- Ale z rozpuszczonymi włosami bardziej.

- Z rozpuszczonymi bardziej.

Przyjąłem jej ofiarę.

Katrin siedziała, opierając się dłonią o trawę. Miała szczupłą i silną rękę.

- Katrin - powiedziałem. - Wyjdź za mnie. Kocham cię.

- Nie wierzę ci - powiedziała Katrin.

- Nie kochasz mnie.

- Głupi - powiedziała Katrin.

Nachyliłem się do samej ziemi i pocałowałem po kolei wszystkie jej długie opalone palce. Katrin położyła mi na karku drugą dłoń.

- Dlaczego nie zgadzasz się za mnie wyjść? - zapytałem. -

Bulyczow Kir - wybor

Chcesz, będę dla ciebie zawsze piękny. Jak amant filmowy.

- Zmęczysz się - powiedziała Katrin.

- A mimo to?

- Nigdy za ciebie nie wyjdę - powiedziała Katrin. -

Jesteś przybyszem z kosmosu. Obcym. Niebezpiecznym.

- Wychowałem się w domu dziecka - powiedziałem. - Wiesz o tym. I obiecuję, że nigdy nie będę nikogo hipnotyzować. Tym bardziej ciebie.

- A wmawiałeś mi już coś?

Zabrała dłoń z mojego karku i poczułem, jak jej palce zamarły w powietrzu.

- Tylko wtedy, gdy prosiłaś. Gdy bolał cię ząb.

Pamiętasz? I gdy chciałaś zobaczyć żyrafę na placu Komsomolskim.

- Zasugerowałaś mnie, żebym cię pokochała.

- Nie mów głupstw i połóż łapkę na swoje miejsce. Tak było mi wygodniej.

- Oszukujesz mnie?

- Chcę, żebyś naprawdę mnie pokochała.

Dłoń wróciła na miejsce i Katrin powiedziała:

- Nie wierzę ci.

Dopiliśmy piwo i postaviliśmy butelkę w widocznym miejscu, żeby ten, kto będzie jej potrzebował, znalazł ją i sprzedał. Rozmawialiśmy o zupełnie nieistotnych rzeczach, nawet o ojczymie Tatiany, o ludziach, którzy przechodzili obok nas. Wyszliśmy z parku, gdy zrobiło się całkiem ciemno i długo staliśmy w kolejce do taksówki. Gdy odprowadziłem Katrin pod dom, nie chciała mnie pocałować na pożegnanie i nie ustaliliśmy nic na przyszłość.

Poszedłem do domu pieszo, było mi smutno i wymyśliłem perpetuum mobile, a potem udowodniłem, że ono i tak nie będzie działać. Dowód okazał się bardzo trudny i niemalże zapomniałem o Katrin, gdy doszedłem do swojej ulicy. I wtedy zrozumiałem, że gdy przyjdę do domu, zadzwoni telefon i Krogius powie, że nic nam z tego nie wyjdzie. Nie chciało mi się obchodzić długiego gazonu i zdecydowałem, że przelecę nad nim. Latanie było dość trudne, dlatego że co chwilę traciłem równowagę. Z tego powodu nie zdecydowałem się wlecieć do siebie na trzecie piętro, chociaż okno było otwarte. Wszedłem po schodach.

Gdy otwierałem drzwi, uzmysłowiłem sobie, że ktoś siedzi w ciemnym pokoju i czeka na mnie. Zatrzasnąłem za sobą drzwi i, nie śpiesząc się, zamknąłem je na łańcuch. Potem zapaliłem światło w przedpokoju. Człowiek, który siedział w ciemnym pokoju, wiedział, że go wyczuwam, ale nie ruszał się. Zapytałem:

- Dlaczego pan siedzi po ciemku?

- Zdrzemnąłem się - odpowiedział człowiek. - Długo pana nie było.

Wszedłem do pokoju, zapaliłem światło i powiedziałem:

- Może zrobić kawę?

- Nie, chyba że dla siebie. Ja dziękuję.

Sprawił wrażenie poważnego człowieka. Dlatego ja też przybrałem stateczny wygląd i wmówiłem gościowi, że mam na sobie niebieski krawat w paski. Gość uśmiechnął się i powiedział:

- Proszę się nie wysilać, lepiej niech pan zrobi kawę.

Poszedł za mną do kuchni, wyjął z kieszeni zapałki i zapalił gaz. Ja w tym czasie sypałem kawę do filiżanki.

- Nie czuje się pan samotny? - zapytał.

- Nie.

- Nawet dzisiaj?

- Dzisiaj tak.

- A dlaczego nie ożenił się pan do tej pory?

Bułyeczow Kir - wybor

- Dziewczeta mnie nie kochają.
- A może przyzwyczaił się pan do samotności?
- Może.
- Ale ma pan przyjaciół?
- Mam dużo przyjaciół.
- Ale mają pana gdzieś?
- Nieprawda. Jak pan wszedł do mieszkania?

Człowiek wzruszył ramionami i powiedział:

- Przyleciałem. Okno było otwarte.

Stał z przechyloną na bok głową i przyglądał mi się, jakby czekając, że wyrażę zdziwienie. Ale ja nie zdziwiłem się, przecież omal nie zrobiłem tego samego, bałem się tylko, że stracę równowagę i uderzę się w balustradę balkonu. Człowiek ze smutkiem pokiwał głową i powiedział:

- Żadnych wątpliwości - i poprawił binokl.

Mógłbym przysiąc, że trzy minuty temu nie miał żadnego binokla. Nalałem kawy do filiżanki, wziąłem paczkę wafli i poprosiłem gościa do pokoju. Byłem zmęczony upałem i rozmowami prowadzącymi donikąd.

- Niech pan zdejmie buty - zatroszczył się gość. - Żeby nogi odpoczęły.

- Bardzo pan miły - powiedziałem. - Najpierw wypiję kawę, czuję się taki senny.

Człowiek przeszedł się po pokoju, zatrzymał się przy regale z książkami i przejechał palcem po grzbietach książek jak kijem po sztachetach.

- A więc - powiedział głosem profesjonalisty. - Nie raz zadawał pan sobie pytanie: dlaczego nie jest pan taki jak inni? I nie znajdował pan na nie odpowiedzi. A jednocześnie coś pana powstrzymywało przed pójściem do lekarza.

- Jestem taki sam jak inni - odpowiedziałem i pożałowałem, że go nie posłuchałem. Trzeba było zdjąć buty.

- Jeszcze w domu dziecka uczył się pan lepiej od swoich rówieśników. Znacznie lepiej. Zadziwiał pan nawet nauczycieli.

- Drugie miejsce w olimpiadzie matematycznej - powiedziałem. - Ale nauczycieli nie zadziwiłem. I medalu nie dostałem.

- Nie zdobył go pan celowo - powiedział gość. - Pańskie zdolności peszyły pana. Przekonał pan nawet Krogiusa, że jest pełnoprawnym współautorem. A to nieprawda. Ma pan potężną siłę przekonywania. Każdemu normalnemu człowiekowi może pan wmówić diabli wiedzą co.

- A panu? - zapytałem.

- Mnie nie - odpowiedział mój gość i przeistoczył się w nieduży pomnik Pierwszego Drukarza Iwana Fiodorowa.

- Interesujące - powiedziałem. - Zaraz mi pan powie, że jest pan moim krewnym i łączy nas niedostrzegalna więź genetyczna.

- Słusznie - powiedział gość. - Jeśli byłoby inaczej, nie domyśliłby się pan, że czekam na pana, i przynajmniej by się pan zdziwił, widząc nieznanego człowieka w zamkniętym mieszkaniu. Zdziwiłoby pana moje wyznanie, że wleciałem na trzecie piętro. A propos, umie pan już latać?

- Nie wiem - przyznałem się. - Dzisiaj pierwszy raz spróbowałem. A co jeszcze umiem robić?

- Wystarczy, że spojrzysz pan na kartkę, a zapamięta pan jej treść. Dodaje pan, mnoży, wyciąga pierwiastki z taką łatwością i szybkością, że mógłby pan z powodzeniem występować na estradzie. Może pan nie spać przez kilka dni, nie jeść również.

- Mimo że lubię robić i jedno i drugie i nie ciągnie mnie na estradę.

- Przyzwyczajenie - powiedział chłodno gość. - Wpływ

Bulyczow Kir - wybor

środowiska. W domu dziecka pilnowano, żeby wszystkie dzieci w nocy spały. Dostrzega pan związek między faktami i zjawiskami pozornie ze sobą nie związanymi. Jest pan geniuszem na lokalną skalę. Chociaż nie wszystkie swoje zdolności umie pan wykorzystać, nie o wszystkie się pan podejrzewa.

- Na przykład? - zapytałem.

Gość w tym samym momencie rozpląnął się w powietrzu i pojawił się za moimi plecami, w drzwiach. Po czym nie spiesząc się wrócił do regału, wyjął stamtąd słownik angielsko-rosyjski i rzucił nim. Słownik zastygł w powietrzu.

- I to wszystko mnie czeka? - zapytałem bez specjalnego entuzjazmu.

- To jeszcze nie wszystko.

- Jak dla mnie wystarczy.

- Jeśli będzie się pan uczył. Jeśli wróci pan do naturalnego dla siebie otoczenia. Jeśli znajdzie się pan wśród takich jak pan.

- Tak - powiedziałem. - To znaczy, że jestem mutantem, potworem genetycznym. W dodatku nie jestem sam.

- To nie tak - powiedział gość. - Po prostu jest pan tutaj obcy.

- Urodziłem się tu.

- Nie.

- Urodziłem się w osadzie. Moi rodzice zginęli podczas pożaru lasu. Znaleźli mnie strażacy i zawieźli do miasta.

- Nie.

- No to niech pan powie.

- Powinniśmy byli znaleźć pana wcześniej. Ale to nie takie proste. Myśleliśmy, że nikt nie przeżył. To był statek zwiadowczy. Statek kosmiczny. Byli tam pana rodzice. Statek wybuchł. Spłonął. Zdażyli wyrzucić pana ze statku. Palił się las. W pożarze spłonęło osiedle przedsiębiorstwa przemysłu leśnego. Strażacy, którzy znaleźli pana żywego i całego, tylko bardzo głodnego, nie wiedzieli, że do końca pożaru otaczało pana pole siłowe.

Słuchałem go, ale męczyło mnie coś zupełnie innego.

- Niech pan powie - spytałem. - Jak ja naprawdę wyglądam?

- Zewnętrznie? Musi pan to wiedzieć?

- Tak.

Gość przeistoczył się w jakąś opływową substancję, półprzezroczystą, płynną, zmieniającą kształt i kolor, ale nie pozbawioną pewnego wdzięku.

- To też sugestia?

- Nie.

- Ale ja przecież staram się być człowiekiem. Ja jestem człowiekiem.

- Bez tego nie przeżyłby pan na Ziemi. Myśleliśmy, że pan zginął. A pan się przystosował. Gdyby nie moja wizyta, do końca życia niczego by się pan nie domyślił.

- Muszę z panem odlecieć? - zapytałem.

- To oczywiście - powiedział gość. - Przecież mi pan wierzy.

- Wierzę - powiedziałem. - Zadzwoń tylko do Krogiusa.

- Nie ma potrzeby - powiedział gość. - To, co razem zrobiliście, na razie nie jest Ziemi potrzebne. Nie rozumieją was. Akademicy wyśmiałiby pana. Dziwi mnie, że w ogóle udało się panu spowodować, żeby Krogius uwierzył w tę fantazję.

- Ale to przecież nie są brednie?

- Nie. Za sto lat Ziemiańskie sami do tego dojdą. A nasza rola polega na przyglądaniu się. Co prawda, czasem się nam wydaje, że ta cywilizacja znalazła się w ślepej uliczce.

Bułyeczow Kir - wybor

Podniosłem słuchawkę.

- Prosiłem, żeby pan nie dzwonił do Krogiusa.

- Dobrze - odpowiedziałem. I wykręciłem numer Katrin.

Gość położył dłoń na widełki. Znowu przybrał ludzką postać.

- To już skończone - powiedział. - Samotność również. I przymus życia wśród istot nie dorównujących nam pod tyloma względami. Pod każdym względem. Gdybym pana nie znalazł, zginąłby pan. Jestem tego pewien. Musimy się spieszyć. Statek na nas czeka. Wcale nie jest łatwo dostać się aż tutaj, na koniec Galaktyki. I raczej rzadko bywają tu nasze statki. Niech pan zamknie mieszkanie. Nie od razu zorientują się, że pana nie ma.

Gdy byliśmy już na schodach, zadzwonił telefon. Zrobiłem krok do tyłu.

- To Krogius - powiedział gość. - Rozmawiał z Gurowem. I Gurow nie zostawił suchej nitki na pańskiej pracy. Teraz Krogius o wszystkim zapomni. Szybko zapomni.

- Wiem - odpowiedziałem. - To był Krogius.

Szybko dolecieliśmy do statku. Wisiał nad krzewami, był nieduży, półprzezroczysty, na pierwszy rzut oka absolutnie niezdołny do dalszych podróży. Wisiał nad krzewami w Sokolnikach i nawet się obejrzałem, miałem nadzieję, że zobaczę pustą butelkę po piwie.

- Ostatnie spojrzenie? - zapytał gość.

- Tak - powiedziałem.

- Niech pan spróbuje przezwyciężyć smutek - powiedział gość. - Nie rodzi go rozstanie, lecz niepewność, niemożność zajrzenia w przyszłość. Jutro się pan uśmiechnie na myśl o małych radościach i małych troskach, które otaczały pana tutaj. Trosk było więcej.

- Więcej - zgodziłem się. I otuliło mnie miękkie i ciepłe powietrze statku.

- Startujemy - powiedział gość. - Nie poczuje pan przeciążenia. Niech mi się pan uważniej przyjrzy. Ziemska powłoka nie chce pana opuścić.

Gość przelewał się perłowymi falami, majstrując przy przyrządach sterowniczych.

Przez półprzezroczystą podłogę statku zobaczyłem, jak ciemna zieleń parku coraz szybciej się oddala, jak zlewają się i maleją dróżki ulicznych świateł i ławice okien. Moskwa zmieniła się w jasną plamę na czarnym cieple Ziemi.

- Nigdy nie będzie pan żałował - powiedział do mnie gość.

- Włączę muzykę i zrozumie pan, jakie wyżyny może osiągnąć rozum zwrócony ku pięknu.

Muzyka przyszła z zewnątrz, wpłynęła do statku, miękko pochwyliła nas i popłynęła do gwiazd. Była doskonała, tak jak doskonałe jest rozgwieżdżone niebo. To był ten ideał, do którego ciągnęło mnie w puste noce, w chwilach zmęczenia i rozdrażnienia.

Wtedy usłyszałem, że w opuszczonym, nie posprzątanym mieszkaniu znowu zadzwonił telefon, telefon, którego słuchawka była owinięta niebieską taśmą izolacyjną dlatego, że jeden z moich podpitych przyjaciół zrzucił go ze stołu, żeby zrobić miejsce dla szachownicy.

- Wracam - powiedziałem gościowi.

- Nie - powiedział. - Za późno na powrót. A poza tym nie ma sensu wracać do przeszłości. Do dalekiej przeszłości.

- Do widzenia - powiedziałem.

Opuściłem statek. Tego wieczoru nauczyłem się wielu rzeczy. Wcześniej nie podejrzewałem nawet ich istnienia.

Ziemia przybliżała się. Moskwa z małej jasnej plamki zmieniła się w bezkresną ławicę świateł. Z trudem odnalazłem mój czteropiętrowy blok, nudny i bardzo podobny do swoich

Bułyczow Kir - wybor

braci.

Dogonił mnie głos gościa:

- Skazuje się pan na życie pełne niedomówień, mąk i poniżeń. Przez całe życie będzie pan pragnął dotrzeć do mnie, do nas. Ale będzie już za późno. Niech się pan opamięta. Nie wolno panu wracać.

Drzwi na balkon były otwarte na oścież. Telefon już nie dzwonił. Wymacałem go, nie zapalając światła. Zadzwoiłem do Katrin i zapytałem:

- Dzwoniłaś do mnie, Kasiu?

- Zwariowałaś - powiedziała Katrin. - Pierwsza godzina! Obudzisz wszystkich sąsiadów.

- Dzwoniłaś?

- To pewnie ten twój zwariowany Krogius dzwonił. Szuka cię po całym mieście. Ma jakieś nieprzyjemności.

- Szkoda - powiedziałem.

- Krogiusa?

- Nie, szkoda, że to nie ty dzwoniłaś.

- A dlaczego miałabym do ciebie dzwonić?

- Żeby powiedzieć, że zgadzasz się wyjść za mnie.

- Oszalałaś. Powiedziałam przecież, że nigdy nie wyjdę za mąż za przybysza z kosmosu, a w dodatku potwora moralnego, który może mi wmówić, że jest Jeanem-Paulem Belmondo.

- Nigdy?

- Kładź się spać - powiedziała Katrin - bo cię znienawidzę.

- O której jutro kończysz pracę?

- Nie interesuj się. Jestem umówiona.

- Jesteś umówiona ze mną - powiedziałem groźnie.

- No dobrze, z tobą - powiedziała Katrin. - Ale nie wyobrażaj sobie za dużo.

- Prawie nie jestem w stanie teraz myśleć.

- Całuję cię - powiedziała Katrin. - Zadzwoń do Krogiusa.

Uspokój go. Bo zwariuje.

Zadzwoiłem do Krogiusa i uspokoilem go.

Potem zdjąłem buty i, już zasypiając, przypomniałem sobie, że skończyła mi się kawa i jutro trzeba koniecznie pójść na Kirowską, do sklepu, i wystać się w obłędnej kolejce.

Przełożyła Ewa Skórska